

Piotr Zaremba: „Piękna Lucynda” – Hemar plus Teatr 6 Piętro równa się sukces

Teatr to owa boska radość, która powodowała, że moje sąsiadki z piątego rządu brały się komentować i pokazywać palcami. Ale teatr to powinno być również owo delikatne, niczym pojedyncza złota nitka, poczucie kulturowej ciągłości z dawnymi epokami. Podano nam tę przeszłość w „Pięknej Lucyndzie” z brawurą, a przecież bez kiczu – pisze Piotr Zaremba w felietonie z cyklu „Teatr według Zaremby”.

Rzadko się zdarza aby sezon teatralny kończył się dla mnie czymś aż tak symbolicznym. Większość teatrów już się zamknęła. A Teatr 6 Piętro przywabił mnie w połowie lipca „Piękną Lucyndą” Mariana Hemara. Przygotował to cacko kierownik artystyczny Eugeniusz „Żenia” Korin, nie tylko jeden z kilku Rosjan tworzących kulturę teatralną w Polsce, ale też jeden z lepszych, od dawna już naszych reżyserów. Do współtworzenia 6 Piętra przystępował z deklaracją, że teatr bez widzów nie ma sensu.

Chyba pozostał tej zasadzie wierny. Na „Pięknej Lucyndzie” publika jest rozdokazywana, nawet trochę ponad miarę (rozliczne komentarze i okrzyki zachwyty), w lot podchwytuje grepsy i sygnały od aktorów, zwłaszcza od trzech dam polskiej sceny: Magdaleny Zawadzkiej, Doroty Stalińskiej i Hanny Śleszyńskiej, często wychodzących przed purpurową kurtynę jako Muzy. A na koniec ta publika nagradza za te dwie i pół godziny z przerwą wielominutową owacją. Kiedy aktorzy bawią się

dobrze sami, nie zawsze widzowie za nimi nadążają. W tym przypadku mamy do czynienia z rzadką w dzisiejszych teatrach jazdą bez trzymania. Wspólną jazdą.

Pierwszy warunek sukcesu to wybór tekstu. Korin był już autorem głośnej inscenizacji tej sztuki Hemara – z 1992 roku w poznańskim Teatrze Nowym. Wcześniej Hemara raczej w Polsce nie grano. Ten autor niezliczonych międzywojennych standardów, które czasem jeszcze nuczimy („Miłość ci wszystko wybaczy”), cioteczny brat Stanisława Lema i żarliwy Polak z wyboru, po wojnie wybrał emigrację i jako niezłomny antykomunista był ofiarą zapisów PRL-owskiej cenzury. Z rzadka tylko uchylanych, jak choćby jeszcze na fali odwilży solidarnościowej dla „Kariery Alfego Omegi” napisanej razem z Julianem Tuwimem (w 1983 roku wyreżyserował to w warszawskiej PWST Tadeusz Łomnicki).

Po roku 1989 nastąpił powrót, ale też nie bardzo masowy. „Piękna Lucynda” była wystawiona po raz pierwszy w roku 1967 w Londynie. W Polsce zagrano ją siedem razy, w tym ledwie raz w Warszawie, w Teatrze Syrena, przed 19 laty. A przecież polski teatr nie ugina się pod naporem dobrego, stylowego humoru. Przeciwnie, częściej go wypatrujemy niż dostajemy.

Ta sztuka to żart Hemara, zabawa ramotką, ale ramotką ważną w dziejach polskiego teatru, bo to nasz pierwszy dramat – „Natręci” Józefa Bielawskiego. Efekt specjalnych teatralnych poszukiwań Stanisława Augusta aby się upodobnić do Zachodu. Kabareciarz pociął tamten tekst wyrzucając część postaci natrętów nachodzących dom zakochanego w pięknej Lucyndzie hrabiego Adama. Za to naszpikował

*Polski teatr nie ugina się pod
naporem dobrego, stylowego
humoru. Przeciwnie, częściej
go wypatrujemy niż
dostajemy*

go XX-wiecznymi
wstawkami,
kupletami i
przerywnikami
wieszczącymi
życiowe paradoksy,
ale i nauki. Mamy też
zabawy słowami,
archaizmy występują

tu w roli pierdzących poduszek podkładanych postaciom w kolejnych
sketchach.

Zostawił Hemar coś z XVIII-wiecznego, frywolnie oświeceniowego
klimatu, ale oglądane niejako z zewnątrz, w czym pomagają
ponadczasowe przewodniczki, wspomniane Muzy. Mamy trochę
odniesień do kabaretowego międzywojnia, i trochę kabaretu w stanie
czystym. Mamy sięgnięcie do literackiej przeszłości bez cienia ideowej
socjotechniki czy patriotycznego dydaktyzmu. Ale też wzruszający
finał, kiedy Muzy tłumaczą nam, że bez „Natrętów” nie byłoby
teatralnego dalszego ciągu: oświeceniowego, romantycznego,
postromantycznego, aż po „Tango” Sławomira Mrożka.

Jest teatr dla teatru, w jego boskim szaleństwie, zabawa dla zabawy, ale
jest i poczucie ciągłości. Tu można dokonać najbardziej absurdałnego
wtrętu, zaburzyć realia, żonglować cytatami, ale z pełną świadomością,
co jest czym. Tym różni się Hemar od całego zastępu ignorantów i
duchowych barbarzyńców. Rechocąc w roli prostego widza, cały czas
miałem tego świadomość.

Rzeczą drugą jest wykonanie. Mamy w Warszawie kilka teatrów specjalizujących się w tak zwanym lekkim repertuarze. I nie za wielu w nich aktorów umiejących nas naprawdę rozbawić. Teatr 6 Pietro nie pożałował środków (a teatralnym prywaciarzom o to trudniej). Zatrudnił do „Pięknej Lucyndy” 12-osobową obsadę złożoną na ogół z gwiazd. I one dają nam lekcję, jak się spustoszenie śmiechem. Mobilizacja sił poszła szeroko – od czołowych aktorów wielu scen, po filmowego celebrytę Mikołaja Roznerskiego. To są prawa i możliwości teatru impresaryjnego. Jak nam wyznał jeden z członków tej imponującej obsady, problemem jest tylko zebranie tak mocnej ekipy w jednym momencie, a już wspólny wyjazd na gościnne występy graniczy z niepodobieństwem.

Muzy są tu kimś więcej niż bohaterkami opowieści, są arcyzabawnymi mistrzyniami ceremonii. Hanna Śleszyńska okazuje się także mistrzynią przebieranek i transformacji – jako służący Szymuś podstawiony Hrabiemu Adamowi jest może najśmieszniejszą postacią wieczoru. Przy okazji mamy też sprawdzian innego rodzaju sprawności. Jak to się dzieje, że 74-letnia Magdalena Zawadzka zachowała wygląd i temperament dziewczyny?

Uderzające z kolei, jak wchodząc w poetykę kabaretowo-farsowego przerysowania ci aktorzy umieją się ustrzec drażniącej w dzisiejszych kabaretach gruboskórności. Piotr Gąsowski parodiuje Podkomorzego, pociesznego starca. I stając się niemal postacią z komedii dell arte, zachowuje wszakże stosowną lekkość. Podobnie Rafał Królikowski jako przyjaciel głównego bohatera Poufalski, jest szarżującym pajacem, a jednocześnie kimś, kto bawi się własną postacią i trzyma stosowny

dystans. Szczęśliwie także Mikołaj Roznerski, mniej mi znany z talentów komicznych, umiał się, jako poetyczny Hrabia Adam, dostroić do tego tonu.

Widziałem kilkakrotnie lubianą przeze mnie Joannę Liszowską we współczesnych farsach. Jak to jest, że dopiero tu wydała mi się w roli Ciotki szczerze zabawna, do końca na swoim miejscu? Adriana Kalska jako tytułowa Lucynda to z kolei nie tylko temperament, ale i zdolności wokalne.

Mój największy podziw wzbudziły dwie postacie, które są już ozdobnikiem w ozdobniku. Dobrze jest zobaczyć innego aktorskiego weterana Kazimierza Kaczora w roli natręta Wietrznikowskiego. Nie zatracił stary wiarus wrodzonej *vis comiki*. I wspaniale jest bawić się, kiedy do domu Hrabiego wdziera się Skarbnik – Jarosław Gajewski, postać utkana z czystego absurdu, czyniąca z gąszczu mamrotanych przez siebie plotek materię dla swoistego rytuału, ale i dla nieustającego dialogu z publiką. Mrużący oko podczas wpraszania się na obiad Gajewski to kwintesencja tego przedstawienia.

*Dobrze jest zobaczyć
aktorskiego weterana
Kazimierza Kaczora w roli
natręta Wietrznikowskiego.
Nie zatracił stary wiarus
wrodzonej vis comiki*

Muzykę, nie stylizowaną na wiek XVIII, a pod wodewilowe retro, napisał sam Hemar. Tylko lekko dostroił ją do potrzeb tego teatru Tomasz Szymuś. Naturalnie

w chórki, duety i tercety wkładał się czasem lekki nieporządek, logika aktorskiego grepsowania wygrała w paru chwilach z wokalną perfekcją. Ale teatr, nie operetka przecież, ma swoje prawa. Czyż nie przypominali nam o tym w każdym momencie samymi swoimi sylwetkami i minami dwaj „Złoci Młodzieńcy” – Krzysztof Tyniec i Sylwester Maciejewski ? Głosy może niezbyt mocne, ale jakież mistrzostwo świata w aranżowaniu wspólnej zabawy.

Ich postaci to także mistrzostwo świata w charakteryzacji i stroju. Beata Harasimowicz umiała fantazyjnymi, ale i korespondującymi z XVIII wiekiem kostiumami i tonami pudru na twarzach (zwróćcie uwagę na kolorki!) wykreować świat Hemara przedrzeźniającego Bielawskiego. Poza Muzami – one odziane uniwersalnie, są z innej, bardziej międzywojennej metarzeczywistości. Z kolei scenografia Wojciecha Stefaniaka parodiuje rekwizytornię XVIII-wiecznego salonu z tą samą beczelną dezynwolturą, z jaką Piotr Gąsowski udaje ramola Podkomorzego.

Muzyka, kostiumy, scenografia budują jednak przede wszystkim przestrzeń aktorom. Ta nawet cokolwiek na pokaz zebrana ekipa gwiazd przypomina nam, jak wielkie umiejętności kryją wciąż polskie teatry. Umiejętności, które często nie całkiem wykorzystane, więdną niczym niepodlewane kwiaty. Chwała Eugeniuszowi Korinowi, że się zabawił w ogrodnika. Także i za to, że dał nam okazję spotkania się z Kaczorem, z Zawadzką, ze Stalińską, z Gajewskim, ze Śleszyńską. To ludzie od których pokolenia powinny się uczyć profesjonalizmu i bycia osobowością. Stop – tego ostatniego nauczyć trudno.

Teatr to owa boska radość, która powodowała, że moje sąsiadki z piątego rzędu brały się komentować i pokazywać palcami. Mnie to wkurzało, ale na tym też polega tak zwany kontakt z widzem. Ale teatr to powinno być również owo delikatne, niczym pojedyncza złota nitka, poczucie kulturowej ciągłości z dawnymi epokami. Podano nam tę przeszłość z brawurą, a przecież bez kiczu. Rozróżnienie między jednym, a drugim jest wielką sztuką.

Nie chciałbym aby wszystkie teatry zmieniły się w 6 Piętro. Ale chciałbym żeby „szóstopiętrowości”, czyli rozumnej umiejętności dawania ludziom rozrywki, było w polskich teatrach jak najwięcej. To taki morał na wakacje.